W następnym numerze:

- Desant za Polarnym Kręgiem
- Wspomnienie o Wł. Broniewskim
- Minikary na start!

Podwieczorek W ŚRODKU NOCY

Radiowe „Podwieczorki przy mikrofonie" mają swą długoletnią tradycję. Już przed wojną cieszyły się wielkim powodzeniem wśród radiosłuchaczy. Prowadził je wówczas popularny spiker radiowy Tadeusz Bocheński.

W 1958 r. „Podwieczorki przy mikrofonie" znów zawitały na antenę Polskiego Radia ku zadowoleniu licznych jego sympatyków.

Na nowo powołali je do życia Jerzy Baranowski i Roman Sadowski, autorzy skeczy i monologów dla wielu artystów scen warszawskich. Sadowski znany jest ponadto jako autor tekstów piosenek (najbardziej popularne to „Złoty pierścionek" i „Mariola") oraz z kilku zbiorków poezji.

Zdarzyło mi się uczestniczyć w próbie kolejnego, 328 programu, i przyjrzeć się pracy reżysera, aktorów i piosenkarzy.

Zapraszam Was na spotkanie z nimi na str. 4—5.

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 10 (2106) 4 lutego 1972 r. Cena 50 gr

ALMANACH sportów zimowych

Co roku zasiadacie przed telewizorami, oglądacie transmisje z mistrzostw świata, Europy, kraju; podziwiacie wspaniałe występy łyżwiarzy, narciarzy, saneczkarzy.

Czy zastanawialiście się kiedyś jak rodził się sport zimowy, gdzie i kto był jego prekursorem?

Na pytania te miłośnicy sportów zimowych znajdą odpowiedź na STR. 7.

Druk — kameleon

W Japonii wynaleziono nową farbę drukarską, która zmienia kolor w zależności od temperatury. Farba ta zmienia kolor z czarnego na czerwony lub zielony w temperaturze od 21 do 25 stopni C.

Sekret farby — kameleona leży w zastosowaniu płynnych kryształów przetwarzanych w różnokolorowy atrament. Nowe farby będą użyte do druku tygodników oraz etykiet na butelki z mrożonymi sokami owocowymi.

KRYSZTAŁ ZIELONEGO BERYLU

— Chciałby pan usłyszeć jakąś historię... No cóż, opowiedzieć mogę. Ale uprzedzam z góry: nie będzie to sensacyjna opowieść, nie ma w niej strzelaniny, szlachetnych bohaterów, dzikich zwierząt. Na domiar złego wszystko to wydarzyło się kilka lat temu, tutaj, w tym kraju, i mogło się wydarzyć każdemu. Ale mimo to boję się, że mi pan i tak nie uwierzy...

— Kamienie interesowały mnie już w najwcześniejszym dzieciństwie. Zaczęła się ta pasja od wycieczki w okolice Kielc, odbytej któregoś lata z ojcem. Przechodziliśmy przez jakąś wieś i tam właśnie na ogromnej stercie gliny wygrzebanej przez gospodarza kopiącego studnię zobaczyłem coś w rodzaju dużego bochna chleba, jak gdyby pomazanego po wierzchu gipsem. Ojciec rozkruszył ów bochen, aby mi pokazać jak wygląda w środku i to był ten najważniejszy moment w moim życiu, a mój pierwszy kamień to oczywiście kielecki krzemień pasiasty.

Zbierałem potem wszystko, nawet zwykłe wapienie, piaskowce, margle, kwarcyty, łupki, granity... Kiedy dorosłem, wyjeżdżałem na urlopy nad morze, najchętniej jesienią, aby po sztormach szukać na morskim brzegu bursztynu. W starych odkrywkowych kopalniach w okolicach Wrocławia znajdowałem zielony nefryt, zwany przez Chińczyków „kamieniem Yu", a przez ludy Nowej Zelandii „kamieniem punamu". Niedaleko Tarnowskich Gór odkryłem miejsce występowania — na chłopskich polach! —

C. d. na str. 3—4—5

Granice, które łączą...

Jesteśmy świadkami wydarzeń, które należeć będą do najbardziej doniosłych dla całego obozu państw socjalistycznych. Mam oczywiście na myśli zapoczątkowany już proces otwierania granic między państwami naszego obozu w Europie. Już otwarto granicę między Polską a NRD, za dwa miesiące znikną bariery graniczne *) między nami a naszym południowym sąsiadem — Czechosłowacją. A potem, w dalszej kolejności po zawarciu dalszych porozumień — otworzy się droga do kolejnych krajów.

Podobne ułatwienia celne i graniczne istnieją już między wieloma krajami Europy Zachodniej i wydaje się, iż jest to jedna z najprostszych i najbardziej skutecznych dróg wiodących do zacieśnienia naprawdę przyjacielskich stosunków między narodami. Odtąd różne kraje powinny współzawodniczyć ze sobą jedynie na płaszczyźnie handlowej, artystycznej i sportowej.

Jeśli chodzi o nasz obóz to możemy być tylko dumni z faktu, że to my właśnie i NRD — jako pierwsi wystąpiliśmy z tego rodzaju inicjatywą **). Najbardziej zdumiewa w tym wszystkim śmiałość decyzji, szybkość jej podjęcia, i — co dla przeciętnego Polaka przyzwyczajonego do wszechwładnej biurokracji jest zaskoczeniem — brak jakichkolwiek utrudnień. Ot, idziesz (jeśli jesteś pełnoletni) do Komendy Milicji, stemplujesz dowód i od tego momentu świat się dla Ciebie powiększył o terytorium drugiego państwa. A ponieważ możesz wymienić dowolną ilość złotych na marki niemieckie — przestajesz czuć się za granicą jak ubogi krewny, liczący się z każdym groszem... przepraszam: z fenigiem.

Proces ułatwiania sobie życia nawzajem nie jest procesem zakończonym. Zniesiono np. kilka dni temu obowiązek wypełniania formularzy do celów statystycznych obowiązujących przez pierwszy miesiąc istnienia nowych przepisów granicznych. Stało się to po prostu na skutek licznych krytycznych uwag odnośnie tych formularzy. Delegacja Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej podniosła też nową umowę między nami a NRD. Jeden z głównych punktów umowy stwierdza, iż obywatele polscy przebywający na terenie NRD mają w razie choroby — zagwarantowaną opiekę lekarską, a także — jeśli zajdzie tego potrzeba — leczenie szpitalne.

Ale takie otwarcie granic to nie tylko zysk dla obywateli i rzeczywiste umacnianie naszej wspólnoty socjalistycznej. To także masa nowych problemów do rozwiązania przez rządy i instytucje naszych bratnich krajów, oraz — co tu ukrywać — na początek sporo kłopotów, i dla nas i dla nich.

O owych problemach i kłopotach przeczytajcie poniżej, mając i to na uwadze, że gdy już dorośniecie, będziecie mogli opowiadać swoim wnukom...

„...Wiesz, było to jeszcze wtedy, gdy na przekroczenie granicy trzeba było wyrabiać sobie tzw. paszport. Na początek otwarto granicę do NRD. Nie masz pojęcia co się wtedy działo...

*) Oczywiście termin: „ZNIKNĄ BARIERY GRANICZNE" należy rozumieć w przenośni, bowiem granice między naszymi państwami pozostaną, a tylko przekraczanie ich będzie maksymalnie ułatwione.

**) Od 15 stycznia — czyli dwa tygodnie później otwarto również granicę między NRD a Czechosłowacją.

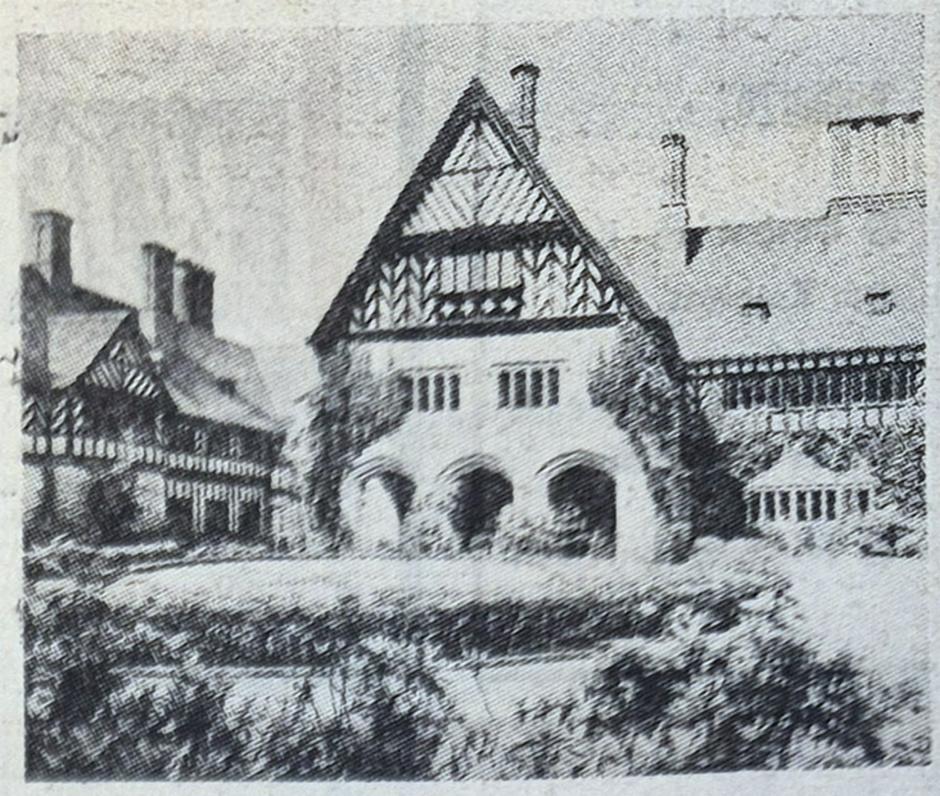

Oto pałac Cecilienhof w Poczdamie. Tutaj obradowała w 1945 roku konferencja poczdamska.

TURYSTYKA

Przed nami pierwszy rok turystyki bez ograniczeń. Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki zdając sobie sprawę z tego, iż w sezonie należy się spodziewać dużej fali przyjezdnych, wyasygnował dodatkowo 40 milionów złotych na remonty i budowę campingów i pól namiotowych w trzech województwach przygranicznych: zielonogórskim, wrocławskim, szczecińskim. Pieniądze te należy wykorzystać oczywiście jeszcze przed rozpoczęciem sezonu. A więc generalny przegląd i uzupełnienie najtańszych miejsc noclegowych. To oczywiście na początek. W dalszych planach znajdzie się budowa nowych hoteli. Spodziewamy się przecież — z samej NRD — napływu blisko miliona gości rocznie, nie licząc wizyt w miastach przygranicznych. Z Niemiecką Republiką Demokratyczną będziemy więc już wkrótce wspólnie budowali ośrodki wypoczynkowe. Umowa w tej i podobnych sprawach jest już przygotowana do podpisu przez oba rządy. Również ważnym problemem jest informacja turystyczna: mapy, foldery, przewodniki, które musimy wydać w łącznym nakładzie co najmniej kilkuset tysięcy egzemplarzy.

PRYWATNY MINI-HANDEL ZAGRANICZNY

Sprawa jest niezmiernie ciekawa i równocześnie złożona. Wiadomo przecież, iż w obrębie naszej wspólnoty gospodarczej każdy kraj ma grupy wyrobów, które są jego specjalnością, a co za tym idzie — są one o wiele lepsze i czasami tańsze niż w innych krajach. Oto kilka najprostszych przykładów: radzieckie telewizory kolorowe i fotoaparaty, niemiecki sprzęt optyczny i radiowy, bułgarskie kożuchy, czeska sztuczna biżuteria i buty, nasze kosmetyki czy wyroby lniane. Towary te były i są nadal sprowadzane przez centrale handlu zagranicznego. Oczywiście ceny ich są zwykle nieco inne za granicami niż w kraju.

I oto nagle wszyscy uzyskują dostęp do tych i innych towarów na terenie krajów produkujących je.

Praktycznie wygląda to tak, że wsiadam w pociąg, jadę do najbliższego miasta NRD i sam kupuję sobie np. odbiornik radiowy wysokiej klasy. Jest to w pewnym sensie mój prywatny mini-handel zagraniczny. Jeśli na ten sam pomysł wpadnie kilkanaście tysięcy osób, o tyleż mniej sprzedadzą sklepy krajowe odbiorników naszej produkcji bądź importowanych.

Oczywiście sytuacja taka będzie miała tylko wtedy miejsce, jeśli odbiorniki krajowe będą o wiele gorsze, a importowane o wiele droższe — od kupionych osobiście za granicą. Wniosek z tego jest prosty. Trzeba będzie ujednolicić wiele cen, a wiele zróżnicować. Gorsze jakościowo towary będą musiały ulec obniżkom, gdyż nikt ich po prostu nie kupi. Towary wysokiej jakości będą musiały wszędzie kosztować mniej więcej tyle samo, gdyż w innym wypadku ów prywatny handel zagraniczny zacznie zakłócać działanie państwowego handlu.

Kolumnę opracował: JERZY DĄBROWSKI

GASTRONOMIA I HANDEL

JUŻ PO KILKU DNIACH od chwili otwarcia granicy z NRD, mieszkańcy miast i miasteczek leżących blisko siebie po obu stronach granicy — wiedzieli o sobie niemal wszystko. Obejrzeli nawzajem swoje sklepy, domy towarowe, restauracje, bary, piwiarnie... ba, nawet budki z jarzynami i kioski z gazetami. Nie minął miesiąc i już się wytworzyły nawyki: Niemcy przyjeżdżają — lub przechodzą przez most w wypadku np. Słubic (z Frankfurtu) czy Zgorzelca (z Görlitz) — i kupują masło (droższe, ale lepsze), jarzyny, benzynę oraz... chleb (nasz smaczniejszy!). A my znowu „WYSKAKUJEMY" NA PÓŁ GODZINKI ZA GRANICĘ — zwróćcie uwagę na niezwykłość tego stwierdzenia — aby kupić artykuły gospodarstwa domowego, sprzęt fotooptyczny czy choćby ciastko o innym smaku, krawat o innym wzorze lub butelkę naprawdę dobrego piwa.

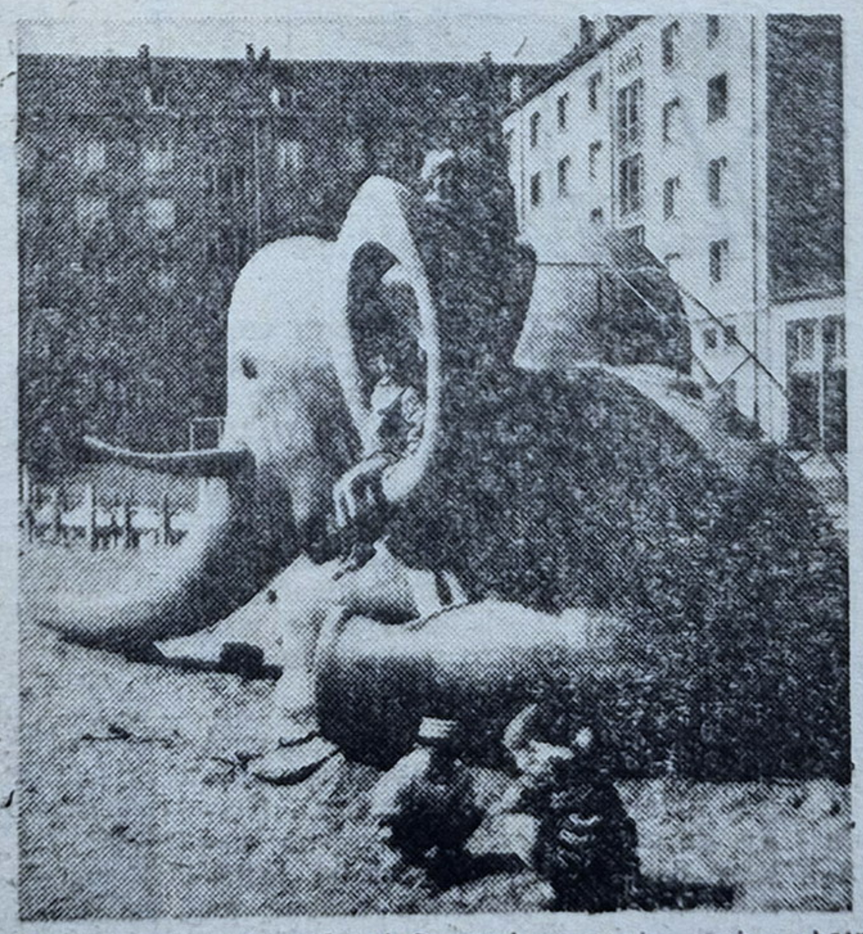

Naśladownictwo dozwolone! Czasami za granicą można obejrzeć podwórka, o jakich się marzyło od dawna.

Tego rodzaju zakupy stanowią dużą atrakcję wycieczek. Ludzie potrafią godzinami łazić po sklepach, kupują drobiazgi, których u siebie w kraju nie mają. Potrafią godzinami siedzieć w kawiarniach i restauracjach próbując nieznanych potraw...

I tu zaczyna się kłopot. Nasza gastronomia nie jest jeszcze dostatecznie przygotowana do obsługi tylu gości. Lokali jest za mało, nie zawsze dysponują one pełnym zestawem potraw i odpowiednią obsługą. Ale z chwilą włączenia się w międzynarodowy ruch turystyczny będziemy musieli — chcąc, nie chcąc — usprawnić i ten rodzaj usług.

Czy tego wymaga PRZYJAŹŃ?

Nasza obecna dyskusja o przyjaźni została rozpoczęta przez pewną siódmoklasistkę, która opowiedziała o tym, co przytrafiło się jej dwóm koleżankom, Adze i Krysi: Aga dostała dwóję, jej przyjaciółka Krysia zniszczyła dziennik, a posądzenie o ten czyn padło na Agę, która kierując się tym, co i Krysia – przyjaźnią, wzięła winę na siebie i... cierpiała w milczeniu.

Cały czas rozmawiamy o tym, co to jest przyjaźń. Drukowaliśmy już wiele wypowiedzi oceniających postępowanie obu dziewcząt. Dzisiaj następna porcja listów, w których dyskutanci próbują znaleźć definicję przyjaźni, określić to, co sami poprzez słowo „przyjaźń" rozumieją, opowiedzieć innym, co to jest przyjaźń, czego wymaga i czego należy od niej oczekiwać.

SĄ INNE SPOSOBY

● **Moja przyjaciółka też dostała kiedyś dwóję z historii. Nawet mi przez głowę nie przeszło, żeby ukraść i zniszczyć z tego powodu dziennik. Wytłumaczyłam jej lekcje i już więcej nie otrzymała z tego przedmiotu oceny niedostatecznej.**

Wanda

TO TEŻ POMOC

● **Wiktor nie ma racji pisząc, że jeśli Krysia nie zostanie ukarana, źle to na nią wpłynie. Przeżyłem podobną historię i czyn przyjaciela nie tylko że mi nie zaszkodził, ale pomógł podjąć pracę nad sobą, która na pewno nie jest łatwa.**

Tarnowianin

SZTUKA DLA LUDZI

● **Moim zdaniem przyjaźń jest swoistą sztuką, wymagającą serca i rozumu. Sztuką jest bowiem dochować przyjaźni i nie sprzeniewierzyć się jej w trudnych okolicznościach, nie zrobić z niej złego użytku. Sztuką jest też odróżnić przyjaźń prawdziwą od jej pozorów, nie robić niczego, co nie tylko szkodzi przyjaźni, ale i przeczy innym wartościom, np. prawdomówności.**

Przyjacielem prawdziwym jest ten, kto nie porzuci nas w biedzie. Każdy z nas potrzebuje przyjaźni, świadczącej o zdolności człowieka do bezinteresownego działania i okazywania uczuć.

Ósmoklasistka z „14-ki"

NIE SZKODZIĆ!

● **Jeżeli każdy pojmowałby przyjaźń tak jak Krysia, to w naszym kraju zabrakłoby papieru na dzienniki lekcyjne.**

Prawdziwa przyjaźń winna polegać na pomocy koleżeńskiej we wszystkim, ale tak, aby nie było to ze szkodą ani dla pomagającego, ani dla potrzebującego pomocy.

Lila

PIĘĆ PRZYJACIÓŁEK

● **W zeszłym roku bardzo często zmieniałam koleżanki i za każdym razem myślałam, że to nareszcie ta prawdziwa przyjaźń. Niestety, koleżanki sądziły, że jeśli dam „odwalić" matmę lub polski, to wszystko w porządku. Ale sami wiecie, że to nie jest tak.**

Teraz jestem w klasie VIII. Renia też. Jest dobrą uczennicą i wspaniałą przyjaciółką. Nareszcie!

Spotykamy się codziennie po południu. Razem odrabiamy lekcje, rozmawiamy o różnych sprawach nurtujących młodzież. Obie też doszłyśmy do wspólnego wniosku, że musimy wciągnąć w naszą przyjaźń jeszcze inne koleżanki. Udało nam się! Jest nas teraz pięć. Czasem się sprzeczamy, ale to szybko mija, a nasza przyjaźń ciągle trwa.

Ela

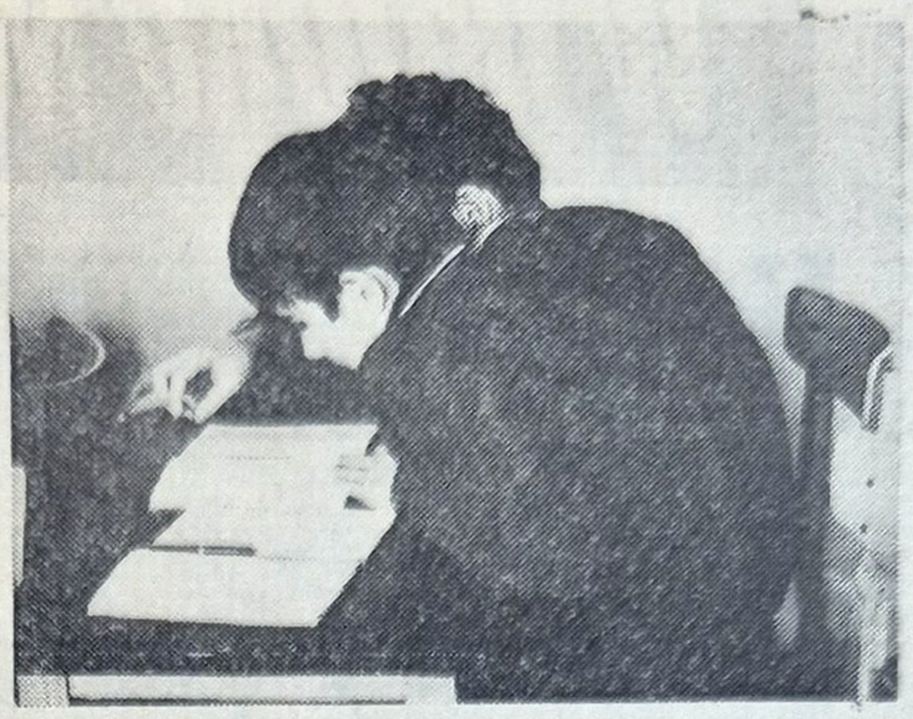

Foto: K. Adamowski

UCZUCIE NAJWIĘKSZE

● **Dla ludzi, których kochamy, potrafimy zrobić wiele. Jeżeli ludzie rozumieją się dobrze, to wszelkie kłopoty oraz zmartwienia stają się drobnostką i zawsze znajdzie się wyjście. Ja mam dwie przyjaciółki i wprost nie mogę powiedzieć, ile im zawdzięczam. Ufam im zawsze, wierzę, dzielę z nimi wszystkie troski i radości. Z nimi czuję się szczęśliwa.**

Każdego przyjaciela wyobrażam sobie takim właśnie jakimi są moje przyjaciółki. Między nami istnieje naprawdę prawdziwa przyjaźń, a ja myślę, że to bardzo piękne uczucie, które znaczy może nawet więcej niż miłość.

Nina

Jeśli masz inne zdanie, inne własne doświadczenie, na temat, co to jest przyjaźń, czego wymaga i na co w przyjaźni można i powinno się liczyć, napisz. Klub Nastolatków czeka na Twoją wypowiedź! Na kopercie nie zapomnij napisać hasła dyskusji: — „Przyjaźń".

Oprac: B. SKÓRSKA

KW

KRYSZTAŁ ZIELONEGO BERYLU

C. d. ze str. 1

pięknych okazów zółto-czerwonych agatów.

Byłem więc już, można powiedzieć — dość doświadczonym zbieraczem — gdy zjawił się u mnie Leszek...

Ryba łapie przynętę

Człowieku! — zawołał, zanim przekroczył próg. — W życiu nic podobnego nie widziałeś! Całe twoje zbiory to pestka w porównaniu z tym, co możesz mieć, jeśli tylko zechcesz!

Leszek był człowiekiem godnym zaufania, a oprócz tego znał całą Polskę jak własną kieszeń, gdyż interesowały go wyłącznie trasy omijane przez turystów.

— Byłem na Dolnym Śląsku. Wiesz, okolice Nysy Kłodzkiej. Znalazłem coś dla ciebie. Co najmniej od trzydziestu lat nie stanęła tam noga ludzka...

— Głęboko? — zapytałem rzeczowo, gdyż już się zacząłem domyślać, o co chodzi.

— Powiem szczerze: nie wiem! Szedłem trzydzieści, może czterdzieści metrów w dół, na skos. Potem wróciłem. Wejście jest prawie zupełnie zawalone głazami, w środku ciemno. Wypaliłem całe pudełko zapałek nim znalazłem coś i dlatego tu jestem...

To mówiąc Leszek wyjął z kieszeni zawiniątko. Rozwinął niedbale zwitek pomiętej gazety i oczom moim ukazało się coś, co każdego zbieracza przyprawić by mogło o bicie serca. Był to pięknie wykrystalizowany, lekko przejrzysty, dość duży kryształ zielonego berylu!

— Takie naturalne „szkiełko" nazywa się szmaragd, co? Podobno dawniej za tym wariowano? — zapytał obojętnie Leszek.

— Człowieku — powiedziałem zupełnie spokojnie, ale aż się we mnie gotowało. — Najpiękniejsze przezroczyste okazy, po oszlifowaniu osiągają prawie cenę diamentów. A każdy zbieracz, byleby tylko miał możliwość...

— No to, żebyś za długo tej możliwości nie szukał, posłuchaj jak tam trafić — to mówiąc Leszek zaczął mi rysować mapkę na kartce papieru. — Wysiadasz na stacji w Kłodzku...

Opuszczony kamieniołom

Kilka dni później wysiadłem wczesnym rankiem na stacji w Kłodzku.

Dalszą część drogi odbyłem autobusem PKS, a potem szedłem kilka godzin pieszo*). Do mojego nor-

*) **Niestety, nie mogę podać nawet w przybliżeniu miejsca, do którego doszedł bohater opowieści, a ci, którzy przeczytają ten tekst do końca — zrozumieją powód takiej decyzji.**

C. d. na str. 4–5

C. d. ze str. 1

Podwieczorek W ŚRODKU NOCY

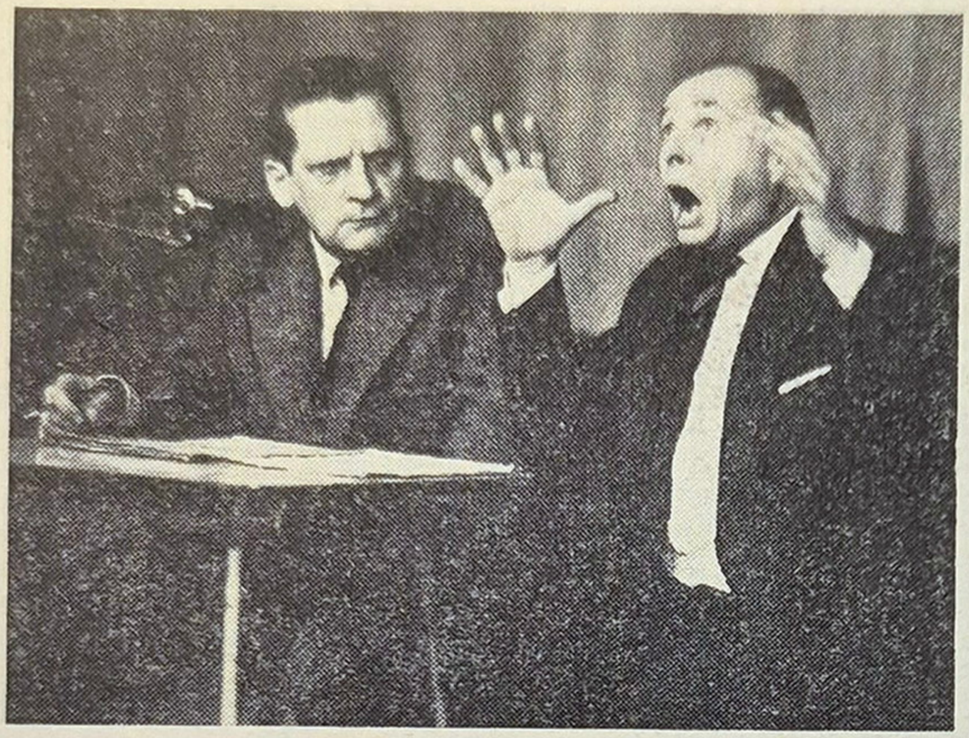

Panie kierowniku — dziwi się Malinowski — jak pomysł mógł trafić do pańskiej głowy? Malinowski, to wiadomo, Kazimierz Brusikiewicz. W roli kierownika Florczaka Jerzy Bielenia.

Reżyser w krzyżowym ogniu pytań

W **pustej sali** kawiarni przy stoliku stojącym najbliżej estrady znajduję Romana Sadowskiego. Na estradzie zespół muzyczny Janusza Senta. Przed mikrofonem próbuje premierową piosenkę Tadeusz Woźniakowski. Powtarza ją kilkakrotnie. Wkrótce leci piosenka następna, potem trzecia, czwarta... Podobnie jest z Ireną Santor, Jerzym Połomskim, którzy wchodzą na estradę po Woźniakowskim.

— Czy to możliwe, aby w audycji tyle piosenek śpiewał jeden solista? Program w radio trwa przecież 90 minut, a nie tylko piosenkarze występują w „Podwieczorku"? — pytam reżysera.

— Wokalista na próbie prezentuje kilka swoich piosenek, aby można było wybrać te najlepsze. Następnie program, idący „na żywo" z kawiarni przy pełnej widowni, nagrywamy na taśmę i... dopiero potem go montujemy.

— To znaczy, że radiosłuchacz odbiera program w radio z opóźnieniem, a nie tego samego dnia?

— Tak jest. To, co „na żywo" oglądają widzowie w kawiarni, w radio zostaje nadane dopiero za dwa tygodnie. Tyle czasu trwa montaż „Podwieczorku".

— Ilu śpiewających amatorów wylansował „Podwieczorek"?

— Och, było ich wielu. Dziś niektórzy z nich to sławy. W „Podwieczorku" debiutowała na przykład nikomu nieznana studentka, Anna German. Zaczynali tu śpiewać: Fryderyka Elkana, Halina Kunicka, Tadeusz Chyła, Bogusław Wyrobek.

— „Podwieczorek" nie tylko odkrywa nowe talenty, ale też często przypomina gwiazdy, które odeszły...

— Tak. Występowała u nas w „Kąciku Wspomnień" — Zofia Terne, Ewa Bandrowska-Turska, Marta Mirska, Halina Kowalewska, Karol Hanusz, Aleksander Żabczyński.

— Do dobrego tonu „Podwieczorków" należy też zwyczaj zapraszania poetów i pisarzy do prezentowania własnych tekstów...

— Mieliśmy zaszczyt gościć Jana Brzechwę, Stanisława Leca, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Tadeusza Kubiaka, Leona Pasternaka, Antoniego Słonimskiego, Mariana Załuckiego i wielu innych.

Widzę w tej chwili na estradzie panów Bielenię i Brusikiewicza. Posłuchajmy, co mają sobie do powiedzenia Florczak i Malinowski:

Pan kierownik zakłada Biuro Informacyjne

Słuchajcie, Malinowski, czy wiecie, że wpadł mi pewien pomysł do głowy?...

— To dziwne, panie kierowniku kochany.

— Dlaczego dziwne?

— No, bo natura nie znosi próżni, panie kierowniku, więc niby dlaczego ta myśl trafia akurat do pańskiej głowy...

Znacie te dialogi między Florczakiem a Malinowskim. Tym razem kierownik Florczak postanowił założyć Biuro Informacji Handlowej, Malinowski jak zwykle nic nie rozumie, jak zwykle wykłóca się o każdy drobiazg z kierownikiem, a gdy wreszcie pojął w czym rzecz, „wycyganił" od Florczaka 100 zł i... poinformował go (nic za darmo), że właśnie kierownik otrzymał premię.

Irena Santor próbuje trzecią z kolei piosenkę. Janusz Sent przy

— Jak reaguje pan na głosy krytyki dotyczące naiwności w niektórych tekstach pisanych dla tego duetu? — pytam reżysera Sadowskiego.

Rany Julek, kiedy ta próba się skończy! — myśli zapewne Jarema Stępowski, i po chwili... z uśmiechem śpiewa „Ja mam miłość gorącą na Chłodnej".

— No cóż. Piszę je sam co dwa tygodnie (na zmianę z Baranowskim) i przyznaję, że nie prezentują głębokiej filozofii, ale bawią publiczność od lat. Teksty te, choć błahe, zawsze poruszają jakiś drobny problem naszego życia.

— Nie jest to oczywiście jedyna stała pozycja „Podwieczorku".

— Nie. Dużą popularnością wśród słuchaczy radiowych cieszy się „Lekcja" z Marszelówną i Brusikiewiczem „do tablicy". Stałym kącikiem jest dialog konferansjera z „Wynalazcą". O... właśnie „Wynalazca", Kazimierz Rudzki, wchodzi na estradę.

Czy łatwo jest wynaleźć sztucznego głupca?

Co pan wynalazł ostatnio? — pyta Tadeusz Ross Kazimierza Rudzkiego. Ten ze śmiertelną powagą odpowiada:

— Sztucznego głupca...

— Cooo? Po co komu potrzebny sztuczny głupiec?

— Jak to po co? Taki sztuczny głupiec może na przykład czytać głupie zarządzenia, wy-

KRYSZTAŁ ZIELONEGO BERYLU

C. d. ze str. 3

malnego ekwipunku, w którym był zawsze młotek geologiczny i plecak z pojemnikami na znaleziska i żywność — dołączyłem tego dnia szwedzką elektryczną latarkę i zapas baterii wystarczający na kilkanaście godzin świecenia. W opuszczonym i nieczynnym kamieniołomie — gdyż tam właśnie zaprowadziła mnie mapka Leszka — byłem już koło południa. Jak zwykle w takich miejscach zastałem to samo...

Oto poszarpane skaliste zbocza porośnięte ziołami, krzewami i karłowatymi drzewkami wczepionymi jakimś cudem w szczeliny między blokami skalnymi. Prawie pionowe ściany — z których tu i ówdzie wyciekają maleńkie strumyczki odsłoniętych niegdyś źródełek, znacząc swój ślad barwnymi smugami — zbiegają się w dole tworząc nieregularną nieckę, wypełnioną kryształowo czystą wodą. Słychać tylko szum drzew rosnących na szczycie wyrobiska i brzęczenie owadów na nasłonecznionych stokach.

Szczelinę, przez którą można się było dostać do środka, znalazłem

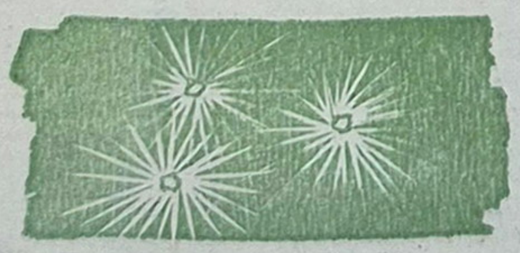

łatwo. Wcisnąłem się w nią bez namysłu i odczekawszy kilka minut, aby przystosować wzrok do światła latarki — ruszyłem przed siebie rozszerzającym się nieco i wiodącym w dół korytarzem.

Pierwsze kilkadziesiąt metrów przeszedłem jako tako, przyzwyczajony do wałęsania się po wysypiskach kamieni na powierzchni ziemi. Tutaj było jednak o wiele gorzej; odłamki skał tarasowały przejście, musiałem więc wspinać się pod sam sufit chodnika, przeciskać przez wąskie szczeliny, przemykać ostrożnie pod ledwie trzymającymi się nawisami skalnymi. Po pół godzinie byłem tak zmęczony, że postanowiłem odpocząć i dokładniej spenetrować jakąś kolejną grotę, gdyż jak dotąd plan mojej wyprawy był mizerny: znalazłem kilka niewielkich zielonkawych beryli i to nie najpiękniejszych, bo tylko lekko przeświecających.

O krok od bogactwa

Okazja trafiła się kilkanaście metrów dalej. Korytarz rozszerzał się tutaj i mogłem stosunkowo swobodnie rozpocząć poszukiwania.

Beryle — jak większość kamieni szlachetnych — krystalizują w szczelinach lub wnękach skalnych i nieraz dość trudno jest odnaleźć i oddzielić kryształ od otaczającego go materiału. Chodzi bowiem o to, aby nie nieść potem za dużo zbędnego kamienia. Nieostrożne uderzenie młotka może jednak popsuć najpiękniejszy okaz. Pamiętając o tym wygrzebałem i oczyściłem delikatnie kilkanaście niewielkich nowych kryształów, gdy nagle żółtawe światło latarki wyłowiło z ciemności tuż koło moich stóp... snop zielonych iskier! Jedno spojrzenie i zdumienie moje sięga szczytu: oto na dużej płycie skalnej leży garść maleńkich szmaragdów najczystszej wody! Wyglądają tak, jak gdyby ktoś — może dzieciak — potłukł jeden duży kryształ na kawałeczki. Przez głowę przelatują mi coraz bardziej nieprawdopodobne myśli: — Ktoś tu już był, może przed wiekami; ale zaraz przychodzi refleksja: po co niszczyłby tak cenną rzecz, nie, to niemożliwe. I rzeczywiście, nie widzę nigdzie narzędzia, które służyłoby nieznanemu mi poszukiwaczowi...

Zmieniam gorączkowo baterię na nową. Światło staje się jasne, przy jego pomocy szukam wyjaśnienia zagadki. I wreszcie znajduję ją, i po raz drugi tego dnia dosłownie dech w piersi mi zapiera!

Na wysokości może pół metra ponad moją głową, w szczelinie skalnej widzę kilkanaście wielkich, zielonych kryształów, najpiękniejszych, jakie sobie można wyobrazić! Wyrastają z jednego miejsca w skale, wypełniają dokładnie całą szerokość szczeliny i opierają się o jej drugą ścianę. Rzut oka nieco w bok dopowiada mi resztę. Ogromny blok skalny wagi kilkunastu chyba ton całym swoim ciężarem napiera na szczelinę. Coś mu w tym przeszkadza, ale proces obsuwania się skały trwa. Dowodem tego są owe maleńkie odpryski zaklinowanych

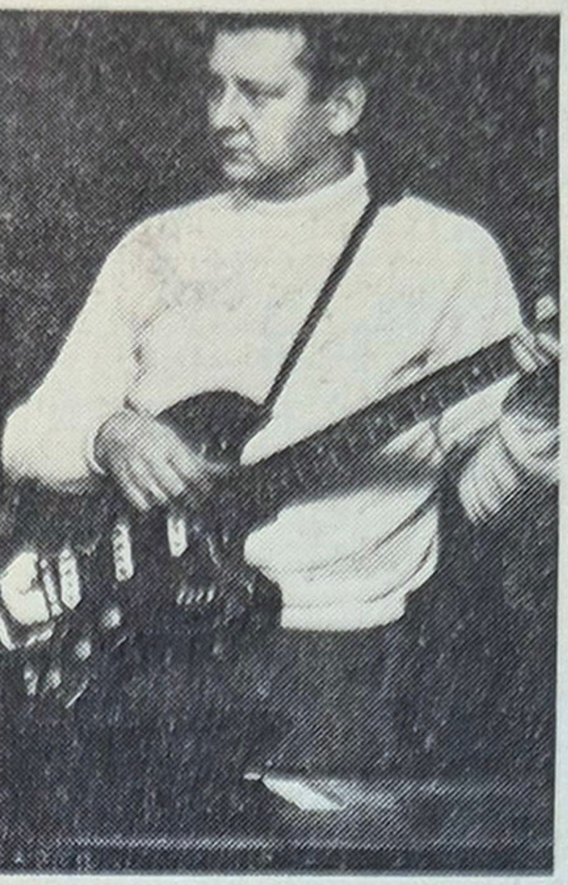

fortepianie, czujnie kontroluje.

dawane przez prawdziwych głupców.

— Zaraz, zaraz, a nie lepiej byłoby wynaleźć sztucznego mędrca?

— O nie! Przecież takich mamy już wielu. Poza tym byłoby to niebezpieczne.

— Jak to?

— No bo sztuczny głupiec, jak wiadomo, nie jest niebezpieczny. Niebezpieczny bywa głupiec prawdziwy. Natomiast z mędrcem jest odwrotnie. Ten sztuczny jest właśnie najbardziej niebezpieczny...

Za chwilę nowy powód do śmiechu. Kazimierz Leśniak i Wojciech Wiliński jako...

Cyrkowi klowni — Frico i Coco

Powiedz mi, Frico, jaka jest różnica między pogodą a kelnerem? — pyta Coco.

— Nie wiem — odpowiada Frico.

— Taka, że pogoda nie zawsze dopisuje...

Obaj klowni zataczają się od śmiechu. Za moment nowe zabawne pytanie:

— Czy wiesz, co u nas w Polsce jest najważniejsze?

— No?

— Pochodzenie.

— Dlaczego?

— Bo za tym trzeba pochodzić, za tamtym pochodzić, za owym pochodzić...

Wojciech Wiliński jest aktorem teatru „Syrena" w Warszawie. Po próbie pytam go, czy odpowiada mu rola klowna Coco

— Bardzo sobie cenię współpracę z „Podwieczorkiem". Tu stale dzieje się coś nowego. Nie ma stagnacji ani nudy. W teatrze gra się niejednokrotnie po dwieście razy tę samą rolę w sztuce. I ma się jej często dosyć! A w „Podwieczorku" co tydzień jest premiera. To ogromnie mobilizuje i daje aktorowi dużą satysfakcję.

*

Godzina 2 w nocy. Koniec próby. Jutro, a właściwie już dziś, w tej samej sali odbędzie się popołudniowe spotkanie z

Wojciech Wiliński, aktor teatru „Syrena", w „Podwieczorku" występuje jako klown Coco.

bywalcami „Podwieczorku przy mikrofonie".

Która piosenka spodoba im się najbardziej? Przy którym skeczu, czy monologu będą największe brawa? W którym momencie zabrzmi śmiech? — myślałam idąc pustymi ulicami nocnej Warszawy.

O tym samym zapewne myśleli i wykonawcy, i reżyser.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

Foto: K. Adamowski

JESZCZE JEDEN HARCERSKI SZCZEP

Niezwykła uroczystość odbyła się w Szkole Podstawowej Nr 3 w Puławach. W dniu 22 stycznia drużyny harcerskie i zuchowe na uroczystej zbiórce zwróciły się z prośbą do Komendy Hufca im. Bohaterów Armii Ludowej w Puławach o pozwolenie na zawiązanie szczepu i zatwierdzenie jego imienia „Najmłodszych Powstańców Warszawy".

Harcerze i zuchy od września 1971 roku przygotowywali się do tej uroczystości. Zorganizowano sejmik harcerski, następnie plebiscyt, który zadecydował o imieniu szczepu. Kiedy wybrano imię szczepu, harcerze i zuchy zapoznali się poprzez lekturę, filmy, audycje telewizyjne z czynami najmłodszych powstańców Warszawy. Następnie został nawiązany kontakt z byłymi harcerzami-powstańcami. Na tej uroczystej zbiórce byli właśnie obecni uczestnicy powstania warszawskiego — Maria Stypułkowska Chojecka ps. „Kama", uczestniczka zamachu na kata Warszawy — Kustcherę i były „Zawiszak" Jerzy Kasprzak ps. „Albatros", łącznik Harcerskiej Poczty Polowej.

Harcerze z ich ust usłyszeli o tym, z jakim poświęceniem oddawali życie młodzi chłopcy i młode dziewczęta, w jaki sposób walczyli z hitlerowskim okupantem. Młodzież harcerska i zuchowa słuchała tych wspomnień z zapartym tchem.

Na zbiórce był obecny sekretarz KP PZPR w Puławach tow. Marian Drobek, inspektor szkolny mgr Kazimierz Kulikowski, przedstawiciele władz szkolnych, harcerskich i komitetu rodzicielskiego.

Uroczystość ta pozostanie w pamięci młodzieży na zawsze, a szczególnie zuchom, którzy w tym dniu składali obietnicę zuchową, bo ich chusty były wiązane rękami uczestników walki z hitlerowcami i zaproszonych gości. Na zakończenie goście upamiętnili swój pobyt w kronice nowo powstałego szczepu, a harcerze śpiewali piosenki, które kiedyś były śpiewane przez harcerzy z batalionów „Zośka" i „Parasol".

phm. Leokadia Okoń
Puławy

TAJEMNICE ZAKLINACZY WĘŻY

Sławni zaklinacze węży nie rzucają uroków magicznych na swoje gady, oni je zwyczajnie tresują. Oto co o ich pracy opowiada młody zoolog belgijski, przez pewien czas prowadzący naukowe badania w Afryce Południowej.

Obserwowałem pracę zaklinaczy i przekonałem się, że nie zaklinają oni wężów przy pomocy sekretnych zaklęć, lecz je tresują, ale te czynności wcale nie są mniej ciekawe i pasjonujące. Można oswajać jakiekolwiek dzikie zwierzęta sposobami zupełnie prostymi, chociaż całość tresury i złożoność metod wymagają często specjalnych zdolności i dużego doświadczenia.

Początek tresury: polowanie na węże jest najbardziej niebezpieczną fazą zawodu poskromiciela. Polujący stara się unieruchomić głowę węża przyciskając ją kijem-widełkami, chwyta potem szybko gada za ogon i wrzuca do worka. Worek umieszcza się w koszu.

Teraz zaklinacz przetrzymuje węże na kilkudniowym poście i wkrótce rozpoczyna właściwą tresurę. W Indiach, Pakistanie i na Cejlonie umieszcza się węże w koszyku, którego pokrywa ma niewielki otwór. Treser stawia koszyk przed sobą. W ręku ma flet. W pewnym momencie wąż wysuwa powoli głowę przez otwór. Jest ostrożny i niepewny, bowiem nie znajduje się w swoim naturalnym środowisku. Nie wie skąd może przyjść niebezpieczeństwo. A oto właśnie spada mu nagle na głowę uderzenie fletu. Wąż chowa szybko głowę do koszyka. I teraz, za każdym razem, gdy próbuje wyjść, otrzymuje uderzenie.

C. d. na str. 8

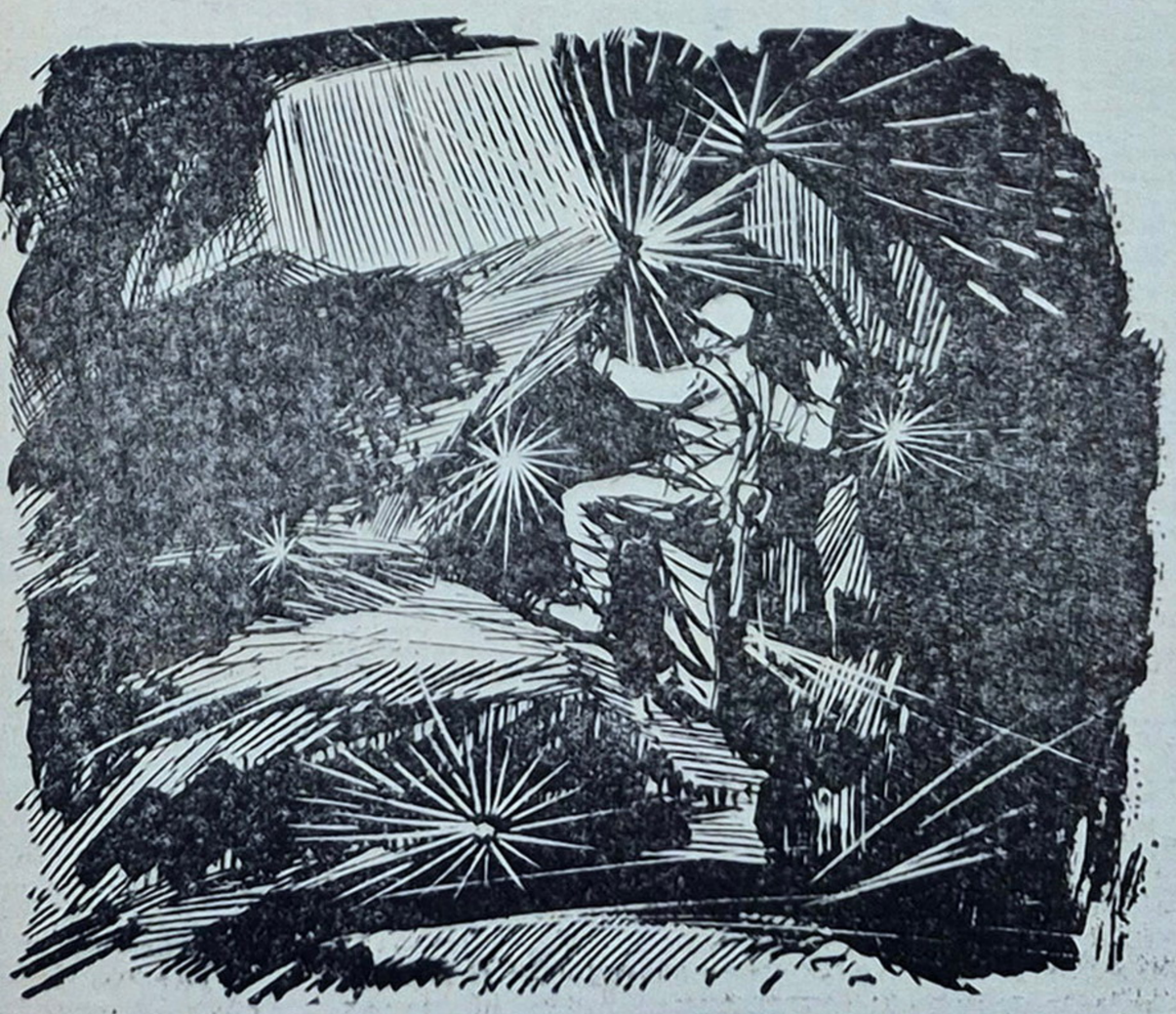

między skałami szmaragdów, odpryski leżące teraz u moich stóp...

Ogarnia mnie strach i... wściekłość! Przezwyciężając jedno i drugie, trzęsącymi się rękami znoszę odłamki skalne, buduję z nich niezdarną piramidę. Po wdrapaniu się na nią mam „moje" szmaragdy tuż koło nosa. Ich zielone, niepowtarzalnej barwy sześcioboczne kryształy, długie może na trzydzieści centymetrów, są zupełnie przezroczyste, tylko w jednym widzę jakieś czarne wrostki. — To chyba piryt — mówię do siebie nie wiadomo po co...

Jak długo tak stałem, nie wiem. Zmieniałem baterie w latarce, obejrzałem dokładnie wszystkie kryształy i wiedziałem już, że nie mogę naruszyć chwilowej równowagi, jaką zastałem w tej przeklętej norze skalnej. Dziesiątki razy — po niesłychanie skomplikowanych wyliczeniach wszystkich szans — wyciągałem rękę, aby wyłamać choć jeden z sześcioboków i dziesiątki razy cofałem dłoń z młotkiem, a na czoło występował mi zimny pot. Kilka razy wydawało mi się, że słyszę trzeszczenie skał nad moją głową. Zamierałem wtedy bez ruchu, dając sobie słowo, iż jeśli i tym razem nic się nie stanie, to natychmiast wychodzę na powierzchnię. I zostawałem zapatrzony, z karkiem sztywnym od ciągłego zadzierania głowy do góry...

Kiedy światło ostatniej baterii zaczęło słabnąć, musiałem podjąć decyzję. Jak automat zlazłem z piramidy i ruszyłem do wyjścia, nie oglądając się za siebie. Z powrotnej drogi do dzisieiszego dnia nic nie pamiętam. Miałem przecież przez cały czas przed oczami ten sam obraz.

Kiedy wyszedłem z groty, słońce właśnie wstawało... Pyta pan czy to możliwe, abym całe popołudnie i noc przestał na kupie złomów skalnych, kilkanaście metrów pod ziemią, wpatrzony jak sroka w kość w „jakieś tam kolorowe kamyczki"? Przecież powiedziałem, że mi pan i tak nie uwierzy...

Opowieść inż. Zdzisława K. zanotował
JERZY DĄBROWSKI
Rys. J. Rocki

PRZYGODY Z CYRKU FRICO

10)

ANDRZEJ LACH
I MARIAN MANC
Rys. M. Majewski

HALINKA rzetelnie spełniała przyrzeczenie dane ojcu i nie podchodziła do okna nawet „na tyle". Za to zajęła do zabawy całą wolną powierzchnię podłogi. Z klocków i patyków ułożyła bandę, otaczającą wyimaginowaną arenę, wokół niej posadziła jako widzów wszystkie swoje lalki, laleczki i misie, a nawet nadmuchiwaną żyrafę i żywego kotka, który stale uciekał pod łóżko. Na arenie produkowała się Halinka. Skończyła właśnie taniec na linie, a właściwie na kawałku sznurka położonego na podłodze i kłaniała się teraz z gracją „publiczności". Na chwilę zniknęła za łóżkiem, po czym pojawiła się w kapeluszu taty na głowie i z poważną miną zapowiedziała „grubym" głosem:

— Teraz wystąpi słynna woltyżerka, Halinka!

Znowu zniknęła za łóżkiem, a po chwili na arenę wjechała woltyżerka. Zamiast kapelusza miała na głowie zawiązaną chusteczkę, jechała wierzchem na szczotce. Szczotka była narowista, nie chciała podporządkować się woli woltyżerki — skakała w lewo i w prawo, cofała się, biła zadem. Halinka rżała w zastępstwie rozbrykanego rumaka i dzielnie ujeżdżała szczotkę, podskakując i wywijając wraz z nią efektowne piruety. Koniec szczotki zawadził o łóżko, o nogę stołu, uderzył w karnister stojący przy drzwiach. Zajęta zabawą dziewczynka nie zauważyła, że karnister przewrócił się, a jego pokrywa, widocznie niedokładnie domknięta, odskoczyła. Wyciekająca benzyna rozlewała się na podłogę i spływała wgłębieniami w wydeptanych deskach przez szparę pod drzwiami na klatkę schodową i dalej, rozlewając się po drewnianych stopniach szeroką strugą.

Halinka dostrzegła przewrócony karnister dopiero w czasie głębokich ukłonów, którymi dziękowała za „brawa" po zakończeniu popisu woltyżerskiego i zeskoczeniu ze szczotki. Zmartwiła się. Szybko podniosła go, wzięła ścierkę i przy jej pomocy usiłowała zebrać z podłogi kałużę benzyny. Miało to ten skutek, że rozmazała benzynę szerzej i zachlapała nią całą podłogę. Pomimo to była zadowolona z wyników sprzątania i spokojnie powróciła do zabawy. Ustawiła „na arenie" kilka garnków odwróconych do góry dnem, umieściła na nich misia, żyrafę i żywego kotka, po czym zakładając kapelusz taty, zamieniła się w konferansjera.

— A teraz odbędzie się tresura dzikich zwierząt! — zapowiedziała. — Tresurę poprowadzi znakomita pogromczyni, Halinka!

Rozpoczęły się skoki zwierząt z tumby na tumbę, oczywiście dokonywane przy pomocy rąk dziewczynki, przenoszącej poszczególne zabawki wysoko w powietrzu z garnka na garnek. Było to widocznie za mało, gdyż Halinka zwinęła w rulon kawałek gazety, ułożyła go na podłodze między garnkami biorąc do ręki pudełko zapałek, zapowiedziała publiczności z tajemniczą miną:

— A teraz tygrys wykona skok przez płonącą obręcz!

*

Jacek i Wacek byli już daleko poza placem. Szli zwiedzić miasto. Wkraczali właśnie w ulicę, którą wozy cyrkowe dojechały do placu postoju, jadąc kawalkadą z rampy kolejowej. Wacek ostrożny, jak zwykle, zaniepokoił się.

— Dobrze idziemy? — zapytał.

— Dobrze — uspokoił go Jacek. — Pamiętasz, z tamtego okna wychylała się taka mała dziewczynka — dodał, wskazując okno na trzecim piętrze stojącego samotnie, starego, zdewastowanego budynku.

— Aha — przypomniał sobie Wacek. — Wychylała się, ale nie „fikła". Ale rudera! Jak w takim domu można mieszkać?

— Widzisz przecież, że to dom do rozbiórki! Prawie wszystkie mieszkania są puste, nawet okna zostały wyjęte.

Po przejściu kilkunastu kroków Wacek obejrzał się, jakby chciał jeszcze raz upewnić się, czy dziewczynka znowu wygląda przez okno i czy teraz przypadkiem nie „fiknie".

— Dym, tam się pali! — krzyknął.

— Gdzie? Nie wygłupiaj się — zlekceważył Jacek słowa kolegi, jednak na wszelki wypadek obejrzał się i stanął jak wryty. — O rany! Pali się! — zawołał przestraszony.

Z okna trzeciego piętra budynku wypływał dym. Chłopcy zawrócili i popędzili do cyrku ile sił w nogach.

W cyrku zawrzało. Dym widoczny był już z placu cyrkowego. Nie ulegało wątpliwości, że w pobliżu wybuchł pożar. Kto żyw, chwytał sprzęt przeciwpożarowy i biegł na pomoc. Dyrektor Migalski miał okazję przeprowadzić pierwszą rozmowę z dopiero co założonego aparatu telefonicznego. Wzywał straż pożarną.

Mieszkańcy okolicznych domów dostrzegli pożar dopiero wtedy, gdy zobaczyli pracowników cyrku biegnących gromadnie ulicą. Wybiegali z domów, ale do samotnego budynku jako pierwsi dobiegli młodzi adepci z zespołu Edwarda Nowaka. Dopadli drzwi, otwarli je i cofnęli się. Drewniane schody płonęły, cała klatka schodowa od góry do dołu była jednym słupem ognia. Nadbiegało coraz więcej osób z wiadrami, bosakami, łopatami. Ktoś niósł drabinę, inny zwój cienkiej linki. Drabina była krótka, sięgała zaledwie okien pierwszego piętra, odrzucono ją więc jako do niczego nie przydatną. Usiłowano zalewać ogień wodą z wiader i zasypywać go piaskiem, ale żar bijący z klatki schodowej był tak silny, że nie pozwalał nawet na wejście do sieni. W panującej wrzawie utonął warkot nadjeżdżającego motocykla. Zeskoczył z niego ojciec Halinki i stanął jak wryty, patrząc na okno swego mieszkania.

— Rany boskie! — wykrztusił zdławionym głosem. — Tam jest moja córka!

Skoczył ku otwartym drzwiom, ale kilka par rąk chwyciło go i osadziło na miejscu. Był półprzytomny, nie wiedział, co robić.

— Tam jest Halinka... Ratujcie dziecko... — powtarzał.

— Wezwać straż pożarną! — zawołał jakiś głos.

— Już wezwana! — odpowiedział drugi.

— Zaraz przyjedzie straż — pocieszał Edward ojca Halinki.

— Zginie zanim przyjadą... — powiedział do niego cichym głosem Frico.

Stary klown dyszał ciężko. Przybiegł jako ostatni, za innymi, chociaż wyruszył z cyrku jako jeden z pierwszych. Nie mógł nadążyć za młodymi. Edward spojrzał na niego i przeniósł wzrok na okno. Wahał się tylko krótką chwilę.

— Deska! — krzyknął rozkazująco. — Chłopcy! — zwrócił się do młodych akrobatów ze swego zespołu. — Natychmiast przynieść deskę! Szybko!

Czterech młodych akrobatów nie pytając o nic, ruszyło biegiem spełnić polecenie szefa. Byli przyzwyczajeni do wykonywania jego poleceń. Frico zmierzył krytycznym wzrokiem wysokość okna. Zrozumiał myśl akrobaty.

— Chcesz skakać? — zapytał z wahaniem. — Dasz radę? Przecież to około 10 metrów!

— Spróbuję. Przecież nie muszę trafić w okno — odparł Edward, patrząc w górę. — Wystarczy uchwycić za parapet...

— Skąd weźmiesz zeskok? Musi być wyższy niż normalnie. Z drabiny?

— Tak.

— Ilu wybijających? Trzech?

— Trzech. Dwóch nie da rady. Byle tylko deska wytrzymała. Powinna wytrzymać.

— Będziemy cię asekurowali brezentem. Musisz odwrócić się w powietrzu. Jak skoczysz?

— Blanż-saltem. Zyskam wysokość i powolny ruch w punkcie krytycznym. Jeżeli osiągnę wysokość okna... — wyjaśnił Edward, ale przerwał nagle i zwrócił się w stronę akrobatów, biegnących z cyrku z odskocznią. — Prędzej, prędzej! — ponaglał ich.

— Brezent! — rozkazał krótko Frico.

C.D.N.

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa". Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. — 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO Nr 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039. Zam. 279 A-60

ALMANACH sportów zimowych

Czarodziejskie łyżwy

Każdy występ łyżwiarza figurowego składa się z dwóch programów: **jazdy szkolnej i jazdy dowolnej.** Szkoła pierwszych lat naszego stulecia polegała na rysowaniu łyżwami w czasie jazdy różnych figur. Według ściśle opracowanego regulaminu zawodnicy kreślili koła, kwadraty, trójkąty, a nawet, jadąc na jednej nodze, wypisywali swoje nazwiska.

Podobnego do dzisiejszego kształtu nabrała jazda szkolna dopiero w latach dwudziestych, kiedy to zwrócono uwagę na estetykę i styl jazdy.

Jazda dowolna posiada większy urok. Pozwala ona zawodnikowi na wykonywanie programu przez siebie opracowanego. Prekursorami jazdy dowolnej byli Skandynawowie: Norweg Paulsen Axel (od jego nazwiska skok Axel), Szwedzi Ulrich Salchow (skok Salchow) i Thoren (skok Thoren). Prawdziwej rewolucji w tej konkurencji dokonała Norwezka Sonia Henie. Pod koniec lat dwudziestych i w latach trzydziestych była ona bezsprzecznie najlepszą łyżwiarką; triumfatorką wielu igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata. Henie wprowadziła do łyżwiarstwa solowego balet i zharmonizowała muzykę z poszczególnymi ewolucjami na lodzie.

Grażyna Osmańska i Adam Brodecki są aktualnie ósmą parą sportową Europy. Widzimy ich właśnie podczas efektownego wykonywania programu.

Na początku XX wieku zaczęła się rozwijać konkurencja par sportowych. Jednakże pierwsze występy różniły się wiele od dzisiejszych. Nie były zharmonizowane, lecz składały się z pojedynczych skoków, spiral. Dopiero pod koniec lat trzydziestych Niemcy Maxi Helber i Ernest Baier połączyli wszystkie elementy w całość tworząc tym samym fundamenty pod dzisiejszy program dowolny.

W latach pięćdziesiątych zawodnicy radzieccy przejęli inicjatywę w tej konkurencji, a para radziecka Nina i Stanisław Żukowie wprowadzili nowe elementy — podnoszenie na sztywnych rękach i elegancję jazdy.

Tytani narciarstwa biegowego

Narty były już znane w latach przedhistorycznych. Używano ich głównie do komunikacji i myślistwa. W związku z tym najstarszą konkurencją narciarską jest bieg płaski.

Pierwsze zawody rozegrano w 1767 roku w Christianii (dawna nazwa Oslo). Biegi narciarskie rozgrywano początkowo na bardzo krótkich dystansach (100, 200 m), później trasa stopniowo wydłużała się. W roku 1911 odbył się bieg-gigant na trasie Moskwa — Leningrad, długości 724 km.

W Szwecji co roku odbywa się wyścig na 85 km. Są to zawody upamiętniające poniżej opisane wydarzenie.

W XVI wieku Szwecja była okupowana przez Duńczyków. Król Gustaw Waza nie mogąc pokonać najeźdźców emigrował z kraju. Kiedy wieśniacy z maleńkiej miejscowości Mora dowiedzieli się o zamiarze swego władcy, postanowili nakłonić go do zmiany decyzji i wysłali za królem najlepszych narciarzy. Posłańcom udało się doścignąć po 85 kilometrach morderczej jazdy poczet królewski i ubłagali panującego o powrót. Gustaw Waza przybył więc do Mora i tam stworzył silną armię chłopską, dzięki której zwyciężył Duńczyków. Na cześć tego zwycięstwa odbywa się każdej zimy „szwedzki maraton", na starcie którego stają setki zawodników.

Narciarstwo biegowe w Polsce zaczęto uprawiać dopiero w latach 1907—1910.

Ludzie-ptaki

Skandynawia jest także ojczyzną skoków narciarskich. Legenda głosi, że pierwszym nowożytnym narciarzem-skoczkiem był cieśla norweski Sandre Nordheim, który stawił się na pewnych zawodach po czterech dniach marszu. Tyle bowiem wynosiła droga z jego rodzinnej wioski, położonej w prowincji Telemark. Dziwne były początki tej konkurencji. Zawodnicy wyposażeni byli w mocne kije, którymi hamowali na zeskoku. Norweg Nordheim był pierwszym, który po skoku zatrzymał się bez pomocy kija, dzięki nagłemu skrętowi. Skręt ten nazwano telemarkiem, od nazwy prowincji, w której urodził się zawodnik.

Śmieszny wydaje nam się dziś wynik Nordheima, wynoszący kilkanaście metrów w porównaniu ze współczesnymi lotami powyżej 160 m, uzyskiwanymi na mamucich skoczniach.

Tylko dla wszechstronnych

Kombinacja norweska (lub klasyczna) należy do najstarszych konkurencji sportów zimowych. Zawodnicy startujący w kombinacji muszą wykazać się nie lada umiejętnościami, bowiem wymaga się od nich skoku i biegu. Suma punktów za bieg i skok decyduje o końcowej lokacie. Jak sama nazwa wskazuje zawody te są wynalazkiem Norwegów, którzy też przez długi okres dominowali w Europie. Hegemonię Norwegów przełamał Polak, Franciszek Groń-Gąsienica, zajmując na Igrzyskach w Cortina d'Ampezzo trzecie miejsce. Dziś w kombinacji klasycznej przewodzą zawodnicy NRD, ZSRR, Polski i Czechosłowacji.

Biathlon dla strzelców

Gdyby Sokole Oko równie dobrze biegał na nartach, jak strzelał ze swego „Postrachu Zwierząt", nikt by mu nie dorównał w najmłodszej konkurencji narciarskiej — biathlonie. Biathlon albo dwubój polega na biegu narciarskim, na trasie którego znajdują się strzelnice, gdzie zawodnicy oddają strzały. Za każde „pudło" sportowiec musi robić dodatkowo jedną rundę karną dookoła strzelnicy. Konkurencja ta jest niezwykle trudna, bo przecież niełatwo jest trafić w cel po kilkukilometrowym biegu. Rozgrywa się ją na czas indywidualnie i sztafetowo.

Polscy biathloniści należą do potęg światowych.

Zawody szaleńców

Tak niektórzy nazywają zawody narciarzy-zjazdowców. Istotnie, widok pędzącego na „złamanie karku" zawodnika może spowodować zimne dreszcze. Zjazd polega na możliwie najszybszym pokonaniu trasy, leżącej na stromym stoku góry. Różnice czasów między zawodnikami wynoszą czasem setne części sekundy, a szybkość pędzącego sportowca przekracza 100 kilometrów na godzinę.

Konkurencje zjazdowe, do których zalicza się slalom specjalny i slalom gigant (w slalomach ustawia się bramki, przez które zawodnicy muszą przejeżdżać w czasie zjazdu) wynaleźli Anglicy, przebywający na urlopach w Szwajcarii w latach 1910—1915.

Polak Andrzej Bachleda należy do ścisłej czołówki światowej w tej konkurencji.

Sanki i bobsleje

Sanki znacie na pewno. Te sportowe odbiegają budową trochę od waszych, posiadają bowiem ulepszenia umożliwiające szybki ślizg.

Zawody saneczkarzy rozgrywane są na specjalnych lodowych torach, mających kształt rowu. Szybkość pędzącego zawodnika dochodzi do 120 km/godz. Sportowcy jeżdżą oczywiście w kaskach.

Polscy saneczkarze, a w szczególności saneczkarki, zaliczani są do grona najlepszych w świecie.

Bobsleje, konkurencja mało uprawiana w Polsce, podobna jest do saneczkarstwa, z tą jednak różnicą, że pojazd bobsleistów jest obudowany aerodynamiczną karoserią i wygląda jak wyścigowy samochód. Podobnie jak samochód ma układ kierowniczy. Ślizgi bobslejowe dwu- i czteroosobowe odbywają się także na dostosowanym torze, przy jeszcze większej szybkości, aniżeli sanek.

Potęgami bobslejowymi są Włosi i zawodnicy NRF.

Z. PRZYBYŁOWSKI
Foto: CAF
i E. Warmiński

Niezawodne oko na strzelnicy to połowa sukcesu w biathlonie. Na zdjęciu polski dwuboista, Andrzej Rapacz.

Tajemnice zaklinaczy węży

C. d. ze str. 5

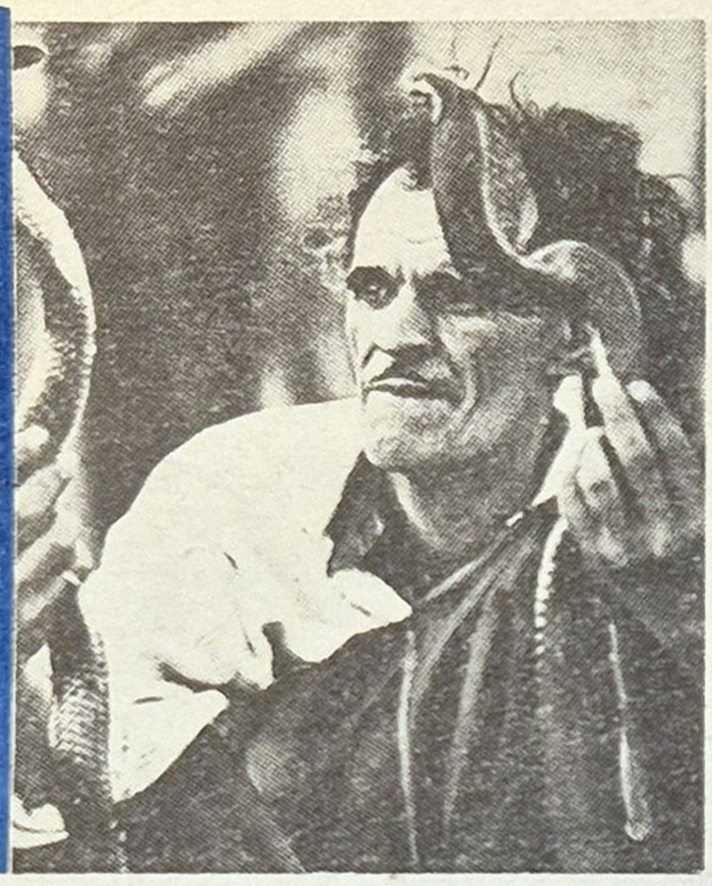

W końcu ból kojarzy mu się z obrazem fletu. To jest dla niego instrument strachu, koszyk zaś staje się bezpiecznym schronieniem.

Turyści odnoszą wrażenie, że węże tańczą. Tymczasem wszystko to jest wyreżyserowaną sztuczką.

Oto przychodzi zaklinacz z koszykiem węży. Zaczyna grać. Ciekawscy gromadzą się wokoło niego. Wąż decyduje się wychylić głowę, rozgląda się, porusza giętkim ciałem. Robi rzeczywiście wrażenie tańczącego w takt muzyki. Nagle dostrzega człowieka z fletem, patrzy na niego, gotowy w każdej chwili do schowania się, gdy tylko straszny flet zbliży się do koszyka. Jeśli zaklinacz oceni, że zebrał dość pieniędzy, wystarczy, żeby zbliżył się do węża — przedstawienie będzie skończone.

Tak więc zaklinacze nie stosują żadnych tajemnych formuł magicznych, celem oswojenia niebezpiecznych gadów. Ich metody, to doskonała znajomość obyczajów węży oraz ich różnorodnych, zależnie od gatunku, cech oraz obserwowanie reakcji zwierząt i ich odruchów warunkowych. Doświadczenie i obserwacje wieloletnie dają im swego rodzaju wiedzę o świecie gadów, którą z dużą dozą wyreżyserowanych dodatków umiejętnie sprzedają, ofiarowując widzom dreszcz emocji. Ci zaklinacze są właściwie zupełnie dobrymi zoologami, chociaż nigdy siebie tak nie nazywają.

(oprac. jk)

Spróbuj Rozwiązać

BILETY WIZYTOWE

Z jakich miejscowości przyjechali ci panowie?

W każdym bilecie wizytowym poprzestawiajcie litery w takiej kolejności, by powstały nazwy miejscowości.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej: Spróbuj rozwiązać.

Za trafne odpowiedzi będzie rozlosowanych 10 bonów książkowych po 20 złotych.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

5 A NIE 5000 RAZY

W numerze 3 z 11 stycznia br. w jednej z ciekawostek o człowieku zakradł się błąd. Otóż człowiek, idąc w ciągu całego życia (70 lat) mógłby obejść kulę ziemską wzdłuż równika nie 5000 lecz 5 razy. Na błąd ten zwrócili uwagę jak zwykle uważni czytelnicy „SM", za co serdecznie dziękujemy. (bor)

Dział redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

CZEŚĆ!

Od Ani Bartoszczak otrzymałem wspaniały list. W ogromnej kopercie znajdował się egzemplarz „Świata Młodych" i przykuty do niego prawdziwym łańcuszkiem Rzep, to znaczy ja. Była też kartka wyjaśniająca zagadkę: „Rzep jest bardzo mocno przywiązany do „Świata Młodych". Dziękuję ci Aniu. Taki list otrzymałem po raz pierwszy w życiu. Benedykt Wiśniewski odkrył, że moje imieniny są 25 maja. Bardzo mi to odpowiada. Oto karteczka, którą należy wkleić w odpowiednim miejscu do kalendarza. Dla pamięci!

MAJ
25
CZWARTEK
RZEPA

A teraz odpowiadam Grzegorzowi Zielińskiemu ze Świnoujścia: Twój zbiór jest bardzo interesujący. Najlepiej będzie, jeśli wybierzesz najlepsze pomysły i przerysujesz na kalce.

Do zobaczenia!

RZEP

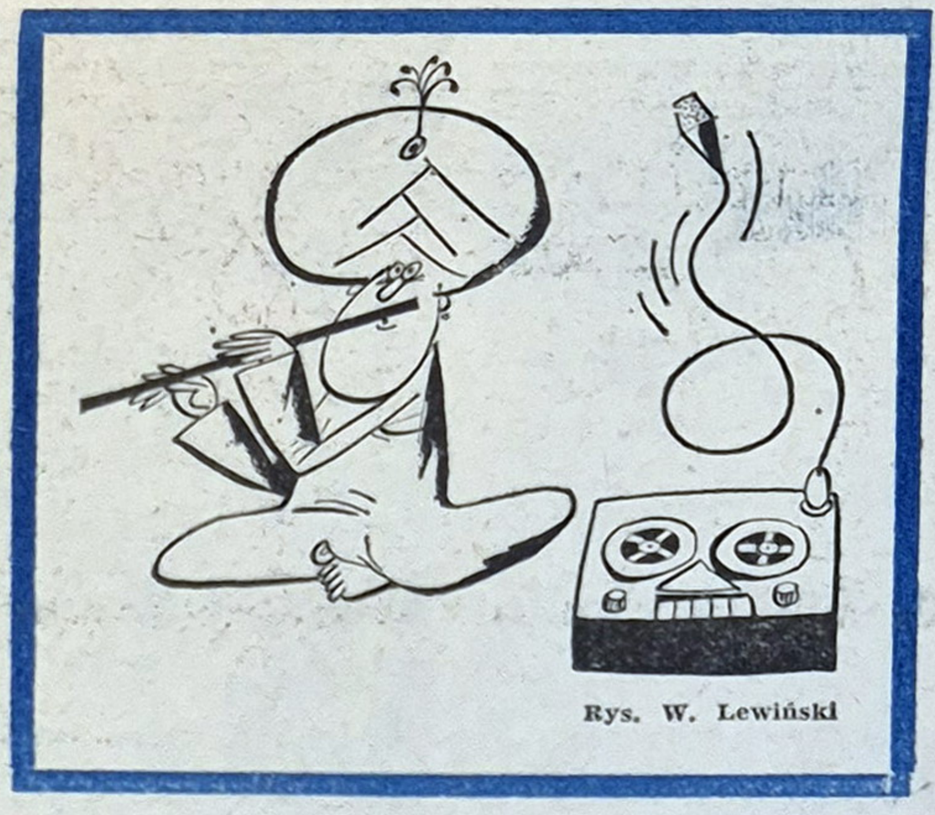

Rys. W. Lewiński

WYSZPERANE DLA RZEPA

— Ostatnio znacznie bardziej przykładasz się do nauki. Pewnie zepsuł się u was telewizor, co?

Wyszperała
Małgosia Tażbierska
z Braniewa

— Podoba ci się, Jasiu wasza nowa nauczycielka?

— Niczego sobie. Gdyby nie różnica wieku...

Wyszperała
Bożena Markowska

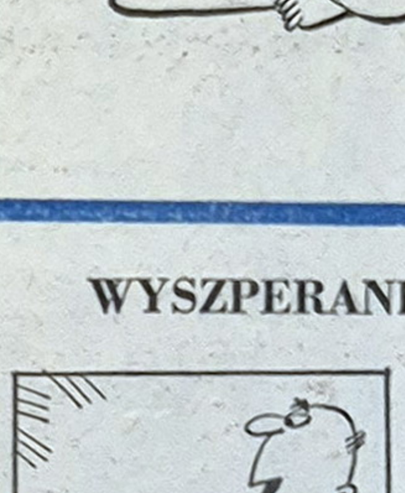

— Nudna ta sztuka, ale radzę panu wyjść dopiero po drugim akcie.

— Czemu nie po pierwszym?

— Bo wtedy jest straszny tłok w szatni.

Wyszperał „Agapit"

— Widziałem wyraźnie jak po moim strzale zając wywinął koziołka!

— To z radości, że nie został trafiony!

Wyszperał
Leszek Sokołowski
Z Warszawy

Post scriptum

Przypominam o naszym konkursie „Malowidło dla „Świata Młodych", Malowidło powinno być duże (największy blok szkolny lub większe), malowane farbami, a nie rysowane ołówkiem czy kredkami. Nie trzeba się spieszyć, bo czasu jest dużo, ale też nie odkładać na ostatnią chwilę! Ważny jest też pomysł. Im bardziej zwariowany, tym lepiej. Powodzenia!

RZEP

Zawody wędkarskie w 2000 roku.

Rys. Włodzimierz Lewiński